



*...habeat in manum suam libellum...*

Błogosławiony niech będzie, kto otwiera drzwi.

Bim, bim! Motorniczy naciska guzik, drzwi otwierają się same. Z zielonego tramwaju na wysepkę przystanku wylewa się tłumek ludzi. Widzicie młodego człowieka pośród nich? Wyższego niż wszyscy, z długimi włosami, z małym zielonym plecakiem na ramieniu? To Włodek, wstępujący właśnie w czas i miejsce akcji. Czas: późne popołudnie, piątek, trzynasty grudnia, roku Pańskiego tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego. Miejsce: miasto Poznań, ulica Głogowska, na wprost wejścia do Parku Kasprzaka.

Całe przedpołudnie tego dnia padał śnieg. Niesprzątnięty z jezdni, zmienił się w brązowe błoto. Ale pośród alejek parku jest ładnie. Ogromna spiżowa statua Marcina Kasprzaka stoi w wejściu. Kto to taki, ten Marcin Kasprzak? Dlaczego tu stoi jego statua? Musiał być chyba jakimś bohaterem komunizmu. Spiżowa broda i wąsy przykrywają dobrotliwy spiżowy uśmiech. Mijając jedną z potężnych spiżowych nóg, Włodek wkracza do parku.

Uroczo, krajobraz jak z bajki, każda gałązka przykryta śniegiem. Spokój, niewielu ludzi o tej porze dnia. Jest ślisko, ale Włodek idzie szybko – ma dobre buty do chodzenia po górach. Wyglądają wprawdzie na trochę znoszone, ale ciągle jeszcze są dobre. Włodek zmierza w kierunku ulicy Matejki, po drugiej stronie parku. Tam, w jednej z secesyjnych kamienic, jest dzielnicowy Klub Seniora.

Brrrm, brrrrm! Ulicą Hetmańską jedzie szary osinobus. Mija ulicę Zaryja Dzierżyńskiego, jedzie w kierunku mostu kolejowego. Robi się już ciemno, ale światła jadących z przeciwka samochodów co chwila oświetlają kierowcę. Jest nim mały i chudy człowieczek w beżowym garniturku poplamionym smarem. Z kieszeni marynarki wystaje paczka Sportów. Na nosie lśnią okularki w złotych oprawkach. Za kierowcą, na ścianie szoferki, rozlepione duże zdjęcie: rozebrana kobieta w szerokim rozkroku.

Brrrm brrrrm; osinobus przejeżdża pod mostem i jedzie w kierunku ulicy Głogowskiej.

Tup, tup, tup. Chodnikiem wzdłuż szarych secesyjnych kamienic przy ulicy Matejki idzie dziewczyna w czarnym płaszczu. Ma ładną buzię, ale smutną. Wokół ładnej buzi niezbyt długie ciemne włosy. Pod pachą niesie papierową teczkę.

Wchodzi w jedną z bram. Na klatce schodowej pali się światło. Śmierdzi szczyną, kotami i zupą kalafiorową. Dziewczyna wchodzi na pierwsze piętro, staje przed drzwiami z tabliczką: „Klub Seniora”. Naciska guzik dzwonka. Za drzwiami słyhać jakiś ruch (błogosławiony niech będzie, kto otwiera). Wyzieradelko w drzwiach się otwiera. Oko spogląda na ładną buzię. Potem słyhać szcęk zamków oraz zasuw i drzwi też się otwierają. Za drzwiami starowinka: szare włosy, szarobrazowa suknia, pomarszczona twarz. Bezzębny uśmiech.

– Do pana Nowackiego? Proszę wejść.

Dziewczyna wchodzi. Nie uśmiecha się. Starowinka gestem wskazuje drzwi na drugim końcu korytarza, sama wraca do kuchni. Na gazowym piecyku stoi ogromny aluminiowy czajnik, buchają zeń kłęby pary. Obok, na stole, kilka szklanek, do których babcinka po kolei wsypuje herbaciane fusy.